Dzieje familii przypomniane z iście reporterskim zacięciem

Biblioteka

„Kto ty jesteś. Początek sagi rodzinnej" pióra Szczepkowskiej to nie tylko skrzętnie i barwnie opisane losy familii pełnej pisarzy i aktorów. To także swoista panorama polskiej inteligencji

Joanna Szczepkowska
aktorka

▶ Fotografia z rodzinnych zbiorów autorki Joanny Szczepkowskiej

Parandowski tak pisze o swoim ślubie: „Wstałem o piątej rano. Ślub naznaczony był na szóstą. Kościół pusty. Potem wsiedliśmy w dorożkę i pojechaliśmy na Domsa, gdzie matka sprawiła nam śniadanie". Irena natomiast w swojej książce „Dzień Jana" pisze tak: „Na ślubie byli tylko moi rodzice. Świadkowie się spóźnili, więc wzięliśmy na świadków dwóch kościelnych. Potem pojechaliśmy na Domsa i zjedliśmy śniadanie".

Zastanawiają te dwa opisy. Przecież Jan Parandowski był już wtedy we Lwowie bardzo znanym profesorem Uniwersytetu. Autorem wielu czytanych i omawianych publikacji i książek, przyjacielem lwowskiej elity literackiej. Irena, jego młodziutka studentka, uczennica konserwatorium, też nie była anonimową osobą w świecie lwowskiej bohemy. Ze względu na artystyczne talenty zapraszano ją na salony do czytania wierszy, a ich gospodarzami byli tacy twórcy jak Przyboś czy Lechoń. Oczywiście, romans studentki i profesora przez pewien czas był pewnie lokalnym skandalem, oni jednak szybko wszystko zwieńczyli sakramentem ślubu. Dlaczego więc „kościół był pusty"? Dlaczego nie przyszła choćby artystyczna bohema? Może z powodu tak wczesnej godziny. Ale dlaczego była tak wczesna? Kto się żeni o szóstej rano? Można zrozumieć, że z umówionych świadków spóźnił się jeden. Ale oboje? O szóstej rano? Przecież nie zatrzymały ich korki. I to śniadanie... Jedyna wspomniana tu uroczystość uświetniająca ślub. A gdzie wesele? A choćby zakrapiane winem przyjęcie dla Przybosia, Lechonia, Wierzyńskiego?

Żeby rozsupłać zagadki, postanowiłam zacząć od spisania tego, co wiem z dokumentów i z rodzinnego przekazu.

***

W Suchej Beskidzkiej u Michała i Heleny (Szczepkowskich) zaczynało się tak: pan pełnomocnik hrabiego Tarnowskiego, adept świetnego konserwatorium, grał Mozarta, Chopina, Lista, a Helena śpiewała operowe arie. W tym wszystkim oczywiście uczestniczyły dzieci. A potem kazano już dzieciom spać. Kobiety były odprowadzane przez mężów, którzy jednak zaraz wracali, na męską część wieczoru. Ale dzieci nie zasypiały, a z pewnością nie spał Jędrek. Wytrwale, na palcach stał przy dziurce od klucza, obserwował i słuchał tego, co dozwolone dla męskiej elity miasteczka. A były to najsprośniejsze ze sprośnych fraszki i limeryki. Granic nie było. Bogactwo polskiego języka szło w parze z ułańską fantazją. Kulminacją wieczoru była lektura tajemniczej broszury. Panowie skupiali się nad nią ciasną grupą i Jędrek niczego oprócz ich śmiechu nie mógł usłyszeć. Wreszcie kiedyś skorzystał z tego, że jest sam w pokoju i jakoś się do niej dostał. Cytuję: „Winietka prezentowała łańcuszek przeróżnej wielkości i przeróżnej prężności fallusów otaczających tytuł, który brzmiał: »Chujoturniej rycerski«".

To były pierwsze doznania małego Jędrka: od Chopina i Lista po „chujoturniej". I z całą pewnością ukształtowało to późniejszego Szczepka, tak uwielbianego w środowisku za cięty język i fraszki. Rymotwórczy, błyskotliwy typ myślenia, który go odróżniał od innych i wyniósł wysoko, musiał się rodzić właśnie wtedy. Z drugiej strony... były zawsze w moim ojcu ta samotniczość i szlachetny rys, skłonność do idealizmu. Jestem pewna, że tam cały czas miały swoją siłę geny Kuczyńskich. Ta lutnia, na której grał Jan Kuczyński, dziadek ojca, tu się chyba odzywa. Szczególna zbitka - „chujoturniej" i lutnia. I ja to w sobie też muszę zmieścić.

Wnuczka Jana Parandowskiego, córka Andrzeja Szczepkowskiego opisuje dzieje rodu z subtelnym humorem

***

Po ojcu została jeszcze jedna legitymacja. Jest wydana 17 października 1941 roku. Świadczy o tym, że Andrzej został pracownikiem w Instytucie profesora Wiegla. Sam mówił o tym prościej - karmiłem wszy.

Jak do tego doszło? Jak udało się Jędrkowi uratować życie, pracując tam, gdzie profesor Weigl, wybitny biolog polski, stworzył azyl dla ocalałych jeszcze naukowców i innych wybitnych ludzi Lwowa? Tego nigdy nie opowiadał. Faktem jest, że dzięki tej przedziwnej pracy, jako „infektor", mógł poruszać się swobodnie po Lwowie bez obawy o łapanki. Produkując szczepionkę przeciw tyfusowi, profesor Weigl wprawdzie pomagał armii niemieckiej pozbyć się plagi, jakiej najbardziej się obawiali, ale też stanowczo wymógł prawo do doboru pracowników. Wiele tysięcy osób profesor uratował w ten sposób.

Pamiętam jeszcze dobrze drobne, czerwone punkciki na nogach ojca.

***

A w 1966 roku mój ojciec został dyrektorem Teatru Dramatycznego w Warszawie. Dla mnie oznaczało to przede wszystkim, że nie będę już tak blisko tego, co dzieje się w Narodowym. Jednak oczywiście było coś ekscytującego w tym, że ojciec będzie prowadził teatr. Prawdę mówiąc, jakoś mało mi pasował do tej funkcji. To był społecznik, fraszkopisarz - człowiek innego typu niż ci, którzy mieliby brać odpowiedzialność za artystyczny teatr. Oczywiście, jakimś atutem było to, że ojciec wywodził się ze szkoły Schillera, że mógł wskrzesić ducha, jaki miał ten twórca teatru, ale czy tego chciał? Czy był na tyle zdeterminowany, żeby prowadzić teatr na miarę Schillera?

Teatr, który miał odpowiadać za swój czas? Myślę, że nie do końca. W gruncie rzeczy mój ojciec przy swoim ciętym języku i wielkiej błyskotliwości był człowiekiem pragnącym ciepłego, bezpiecznego życia. I takie miał. Potrzebował też czasu dla swoich długich wycieczek, dla samotniczego spacerowania, a nie dla gorączki tworzenia. Swoją dyrekcję zaczął świetnie, od wystawienia polskiej prapremiery szwajcarskiego dramaturga Friedricha Dürrenmatta, ale kolejne przedstawienia rozczarowywały.

Pamiętam taką sztuczkę (jak lubił mawiać mój ojciec) „Ja Napoleon". Dobra obsada, trochę śmiesznie, trochę smutno, ale brakowało mi czegoś... jakiegoś wyzwania, wysokiej poprzeczki artystycznej. Nawet kiedy przy obiedzie opowiadał o tym, co się zdarzyło, co zamierza, odczuwałam jakieś zniecierpliwienie. Wszystko takie ciepłe, domowe, milutkie. Opowiadał jakieś anegdoty o kolegach, o swoich żartach na granicy bezpieczeństwa. Na przykład o tym, że w swoim gabinecie powiesił sobie portret Mao. Nie wiem, czy mój czytelnik orientuje się, czym był w tych latach taki żart ze strony dyrektora instytucji. To się naprawdę mogło źle skończyć. A mój ojciec jakby nigdy nic przyjmował w tym gabinecie i władze, i pracowników cenzury, którzy przychodzili rewidować teksty planowanych spektakli. Patrzyli na ten portret w osłupieniu, ale nie mieli odwagi niczego powiedzieć ani interweniować. To była właśnie siła mojego ojca.

***

Oprócz normalnych lekcji mieliśmy coś, co nazywało się „Przysposobienie wojskowe". Kiedy nadeszły ciepłe dni, wyprowadzono nas na boisko i uczono strzelać do tarcz. Zupełnie niespodziewanie okazałam się w tym bardzo dobra, zresztą do dzisiaj chętnie korzystam z jarmarcznych strzelnic i zbieram nagrody za strzelanie w sam środek tarczy. Ale wtedy pewnego dnia zwykłe tarcze zamieniono na tablice z sylwetką ludzkiej głowy. Za strzał idealny uważano, o ile pamiętam, jakiś punkt w potylicy. Nauczyciel dał komendę, a ja jedna nie podniosłam strzelby. Kiedy podszedł do mnie nauczyciel, powiedziałam:

- Nie będę strzelać do ludzi.

Nauczyciel zaczął się śmiać, potem pukał się w czoło, groził dwóją, ale ja dalej stałam z opuszczoną strzelbą. Wreszcie zostałam odesłana na ławkę i tam nauczyciel powiedział:

- Nie chcę tego mówić przy innych, ale mam zamiar zorganizować międzyszkolne zawody, a ty masz duże szanse.

- Jeżeli tam się też strzela do ludzi, to nie będę brała udziału w żadnych zawodach.

Nauczyciel odszedł, a ja przyglądałam się moim kolegom strzelającym do ludzkiej głowy. Oni też wiedzieli, że na nich patrzę. A potem? Docinki na korytarzu, pobłażliwe uśmiechy, a przede wszystkim izolacja od „infantylnej" koleżanki. A może trzeba było zrobić to inaczej? Może próbować namówić innych do opuszczenia strzelby, może zorganizować protest grupy, a nie działać samotnie? Jednak nigdy nie podejmuję się namawiania kogokolwiek do tego, żeby postępował tak jak ja (...). ●

Joanna Szczepkowska, „Kto ty jesteś? Początek sagi rodzinnej", Czerwone i Czarne, Warszawa 2014, cena 39,90 zł